

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

24

(Ciąg dalszy).

Lupin nie lubił pozostawać w niepewności. Pragnął definitywnej rozmowy z Dolores. W tym celu jednak potrzebował wpraw wyjaśnić kilka punktów, dla siebie niejasnych i widzieć Dondeville'a, który mu z Veldenz dość dziwaczne przysłał wieści.

Jednym tchem kazał przeto zawieść się do Veldenz. Tam zobaczył się z hrabią Waldemarem, którego pod jakimś pozorem uprosił, by odwłócił przyjazd delegatów regencji do Bruggen. Następnie w wiadomej sobie oberży odszukał Jana Dondeville.

Dondeville zaprowadził go do innej oberży i przedstawił mu człowieka dość biednie ubranego, pana Stockli, urzędnika przy archiwach stanu cywilnego.

Rozmawiali długo. Wyszli razem i wszyscy trzej poszli do biur magistratu. O siódmej Lupin zjadł obiad i wyjechał. O dziesiątej przybył do zamku Bruggen i zapytał o Genowefę, ażeby z nią razem dostać się do pani Kesselbach.

Odpowiedziano mu, że panna Ernemont depeszą babki odwołaną została do Paryża.

— Trudno — rzekł — ale czy z panią Kesselbach mógłbym się zobaczyć?

— Pani poszła do siebie zaraz po obiedzie. Zapewne już śpi.

— Nie, gdyż widziałem światło w jej buduarze. Przyjmie mnie.

Nie czekał zresztą nawet na odpowiedź pani Kesselbach. Wszedł do buduaru zaraz za służącą, odprawił ją i rzekł do Dolores:

— Muszę z panią pomówić, bo sprawa nagła... Niech pani mi wybaczy... Przyznaję, że zachowuję się, jak natręt... Ale pani mnie zrozumie, pewien tego jestem...

Bardzo był wzburzony i nie miał zamiaru odkladać rozmowy, zwłaszcza że zanim wszedł, zdawało mu się, iż jakiś ruch tu posłyszał.

Dolores jednak była sama. Leżała. Rzekła doń głosem zmęczonym:

— Czy nie możnaby... jutro...

Nie odpowiedział, uderzony nagle zapachem, który zadziwił go w tym buduarze kobiecym, zapachem tytoniu. Zaraz też wydało mu się, że mężczyzna jakiś musiał tu być, w chwili, gdy wchodził i że może jest jeszcze gdzieś ukryty...

Piotr Leduc? Piotr Leduc nie palił. A więc kto?

— Skończmy prędzej, proszę pana! — szepnęła Dolores.

Zdecydował się mówić, opanowując lekliwe zakłopotanie, które go ogarniało na myśl, że ktoś obcy może tu być obecnym; zaczął więc mówić bardzo cicho, tak żeby jedna tylko Dolores usłyszeć go mogła:

— Wie pani, dowiedziałem się jednej rzeczy... której nie rozumiem... a która mnie głęboko zaniepokoiła. Odpowiedz mi pani — nieprawdaz, Dolores?

Wymówił to imię bardzo słodko, chcąc opanować ją przyjacielską tkliwością głosu.

— Czegoż to mianowicie?

— W urzędzie stanu cywilnego w Veldenz znalazłem w księgach trzy imiona trzech ostatnich potomków rodziny Malreichów, osiadłych w Niemczech...

— Tak, już mi pan to mówił.

— Przypomina pani sobie. Otóż najpierw Raul de Malreich, lepiej znany pod przybranym nazwiskiem Altenheima, bandyta, apasz wielkoświatowy, dziś nieżyjący, zamordowany...

— Tak jest.

— Dalej Ludwik de Malreich, ten potwór, straszliwy morderca, który za parę dni ma być ścięty.

— Dalej.

— Nakoniec Izilda obłąkana. Tyle zatem wiemy, nieprawdaz?

— Tak jest.

— Ale ot co! — ciągnął Lupin dalej, pochylając się nad nią — z badań, które właśnie przedsięwziąłem, wynika, że drugie z tych imion, Ludwik — a raczej ta część wiersza, na której to imię jest wpisane, uległa przedtem wyskrobywaniu. Imię „Ludwik“ wpisane jest pismem świeżem i wiele świeższym atramentem, nie zatarto to jednak całkowicie tego, co tam pod spodem było napisane. Tak, że...

— Tak, że?... — powtórzyła pani Kesselbach cicho.

— Tak, że przy pomocy dobrej lupy i innych specjalnych środków, jakimi rozporządzam, mogłem odtworzyć niektóre zatarte sylaby i z całą pewnością odczytać poprzedni napis. A więc nie Ludwik Malreich jest tam zapisany, lecz...

— O nie mów pan... nie mów pan...

Złamana nagle nazbyt długiem panowaniem nad nerwami, zwinęła się teraz, kryjąc głowę w kolana i drgając kurczowo, płakała.

Lupin długo przyglądał się tej istocie nieudolnej i słabej, tak budzącej litość, tak bezbronnej... Byłby rad umilkł, byłby rad przerwał to męczące badanie, którym ją dręczył.

Jednakże dla ocalenia jej działał przecie! A chcąc ją ocalić, musiał wiedzieć prawdę, jakkolwiek by ta prawda była bolesną!

— Jaki jest powód tego fałszerstwa? — badał więc dalej.

— To mój mąż — szepnęła — to on to zrobił. Przy swoim majątku mógł wszystko przeprowadzić, więc też przed ślubem naszym przekupił urzędnika, i ten sfalszował imię drugiego dziecka...

— Imię i płeć — poddał Lupin.

— To prawda — odpowiedziała.

— To też ja się nie omyliłem — oświadczył Lupin — pierwotne, prawdziwe imię zapisane w księdze, było Dolores.

— Tak jest.

— Ale dlaczego mąż pani?...

— Pan nie rozumie? — szepnęła zapłakana, zawstydzona. Niechże pan tylko pomyśli... siostrą byłam Izildy obłąkanej, siostrą Altenheima, bandyty, mąż mój, a raczej wtedy mój narzeczony, nie chciał, bym tem pozostała. Kochał mnie. I ja go kochałam, przystałam więc. Z metryk stanu cywilnego wymazał więc Dolores de Malreich, kupił mi inne papiery, inną metrykę i wysłał za mąż w Holandii pod innym panińskim nazwiskiem, jako Dolores Amonti.

Lupin zastanowił się przez chwilę, a potem rzekł, zamysłony:

— Tak... tak... rozumiem... Lecz w takim razie Ludwik de Malreich nie istnieje wogóle; morderca pani męża, morderca siostry pani i brata tak się nazywa... Jego nazwisko...

Zerwała się żywo.

— Jego nazwisko! tak, on się tak nazywa... tak, a jednak takie jest jego imię... Ludwik de Malreich... L. M... pamięta pan... Ach, niech pan nie dochodzi... to okropna tajemnica... A zresztą, o co chodzi? Winny jest tam... On jest winny... ja panu mówię... Czy bronił się, gdy ja mu oskarżenie rzuciłam w oczy? Czy mógł się bronić pod tem, czy pod innym nazwiskiem?... To on... on... on mordował... on uderzał... sztylet... sztylet ze stali... Ach, gdyby wszystko można powiedzieć!... Ludwik de Malreich... Gdybym ja mogła...

Wstała się niotłomnie, miotana atakiem nerwowym, a ręka jej kurczowo ścisnęła rękę Lupina; słyszał, jak wśród niewyraźnych słów innych, rzucała wyrazy:

— Niech mnie pan broni... niech mnie pan osłania... Pan jeden może... Ach, niech mnie pan nie opuszcza... ja taka jestem nieszczęśliwa... Co za męka!... co za męka!... To piekło!

Ręką, którą miała wolną, z nieskończoną tkliwością pogładził jej włosy i czoło i ta pieczęć ukoiliła i uspokoiła ją nieco.

I znów patrzył na nią długo, długo i pytał się w duchu, co się też kryć może poza tem pięknem, jasnym czołem, jaka tajemnica tę duszę pożera? I ona także się bała. Ale kogo? Przeciwno komu pragnęła ochrony?

I znowu stanęła mu w myśli ta czarna postać, ten Ludwik Malreich, tajemniczy i niezrozumiały wróg, którego napaści musiał odpierać, sam nie wiedząc, skąd mu grożą...

Że był w więzieniu, strzeżony dniem i nocą... to i cóż z tego! Czyż Lupin o tem nie wiedział najlepiej, że są tacy, dla których nie istnieje więzienie i którzy uwalniają się, gdy nadejdzie pora? A Ludwik Malreich do takich należał.

Tak, był tam ktoś w więzieniu, w celce skazanych na śmierć. Ale może to był współnik, może to była ofiara Malreicha... podczas gdy on sam, Malreich, krążył dokoła zamku Bruggen, snuł się po nocy, jak duch niewidzialny, przenikał do pawilonu w parku i nocą wznosił sztylet nad śpiącym, bezwładnym Lupinem.

I to on, Ludwik Malreich, teroryzował Dolores, groźbami ją swemi przerażał, trzymał ją w ręku za pomocą jakiejś strasznej tajemnicy i zmuszał ją do milczenia i posłuszeństwa.

I Lupin wyobrażał sobie plan nieprzyjaciela; rzucić przerażoną i drżącą Dolores w ramiona Pio-

tra Leduc, jego, Lupina, usunąć i panować tam, zamiast niego, posługując się władzą wielkiego księcia i milionami Dolores.

— Ale w takim razie dlaczegoż mnie nie zabił tej nocy w pawilonie? Zależało to tylko od jego woli, a przecież nie chciał. Jeden ruch, a byłbym trupem. Lecz tego ruchu on nie uczynił. Dlaczego?

Dolores otworzyła oczy, spostrzegła go i uśmiechnęła się lekko.

— Niech pan już idzie... — rzekła.

Lupin wstał, zawahał się jednak. Czy szukać nieprzyjaciela — może on się kryje za tą firanką, może za sukniemi w tej szafie?

Ona jednak łagodnie powtórzyła:

— Niech pan już idzie... chciałabym spać...

Poszedł więc.

Wyszedłszy jednak, zatrzymał się pod cieniem drzew, tworzących klomb przed fasadą zameczku. Widział światło w buduarze Dolores. Potem to światło posunęło się do jej sypialnego pokoju. — W parę minut później zaległy ciemności.

Czekał. Jeżeli wróg jest tam, to może wyjdzie z zamku? Cekał w ten sposób dwie godziny.

— Niema co — pomyślał Lupin. — Albo on się ukrywa w jakim zakątku, albo też wyszedł jakimiś drzwiami, których ja stąd nie widzę. Albo też może wszystko to razem jest tylko niedorzecznym przypuszczeniem mojem...

Zapalił papierosa i poszedł ku pawilonowi.

Zbliżając się tam, zauważył zdaleka, że jakiś cień jakby się stamtąd oddalał...

Cień ten przeszedł w poprzek alei. Przy świetle księżycy wydało się Lupinowi, że rozpoznaje czarną sylwetkę Ludwika Malreicha.

Skoczył... Cień uciekł i zniknął.

— Oczywiście — pomyślał — jutro się to powtórzy. Ale już wtedy...

IV.

Lupin wszedł do pokoju Oktawiusza, obudził go i rozkazał:

— Przygotuj automobil. Staniesz w Paryżu o szóstej rano. Zobaczysz się z Jakóbem Dondeville i powiesz mu dwie rzeczy: 1) żeby mi dostarczył wiadomości o skazanym na śmierć; 2) żeby mi przysłał, skoro tylko pocztę otworzą, następującą depeszę.

Napisał depeszę na skrawku papieru i dodał:

— Skoro tylko spełnisz to, co powiedziałem, wrócisz, ale wracaj tędy, wzdłuż ogrodzenia parku.

No, jedź, ale nich się nikt nie domyśli, że ciebie niema.

Lupin wrócił do swego pokoju, nacisnął sprężynkę latarki i zaczął robić szczegółowe poszukiwania.

— Naturalnie — rzekł po chwili — on tu był tej nocy, podczas gdy ja czatowałem pod oknami. I wiadomo w jakim celu. Nie myliłem się, to zaczyna iść na gorąco... Pierwszy raz mnie oszczędzono... ale po raz drugi...

Przez ostrożność zabrał koldrę, obrał sobie w parku miejsce ustronne i zasnął pod gołym niebem.

Około jedenastej rano Oktawiusz stawiał się przed nim.

— Już, mistrzu. Telegram nadany.

— To dobrze. A Ludwik Malreich, czy jest wciąż w więzieniu?

— Jest, panie. Dondeville wczoraj przechodził koło jego celi. Właśnie stamtąd wychodził dozorca. Gadali ze sobą. Malreich zawsze ten sam, wciąż milczy, jak ryba. Czekaj.

— Na co?

— Na ostateczną godzinę, wiadomo! W prefekturze mówią, że egzekucja ma się odbyć pojutrze.

— To dobrze, dobrze. Nie uciekł więc, jak się pokazuje!

Lupin już się nawet nie silił zrozumieć tę zagadkę, tak pewien był, że prawda niebawem się wyda.

Powinien już tylko wykonać swój plan, a wróg niewątpliwie wpaść musi w zasadzkę.

Był bardzo wesół, bardzo swobodny i nigdy walka nie przedstawiała mu się tak pomyślnie.

Służący z zamku przyniósł mu depeszę, którą sobie kazał przysłać z Paryża, a którą posłaniec tam oddał. Odpieczętował ją i włożył do kieszeni.

Trochę przed dwunastą spotkał w alei Piotra Leduc.